XXIII. Kraków, 1 sierpnia 1920 r. Nr. 15.

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przes. poczt. 28 M. 50 f.; Do Ameryki rocznie 6 dolarów.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 479

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień", Łódź, Piotrkowska 81,

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na stronie inseratowej M. 2·—, na miejscu specyalnie zastrzeżonem M. 3, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy M. 4·—, za wiersz petitowy w części redakcyjnej M. 12.

Numer pojedynczy 5 Marek. Redaktor: K. Krumłowski. Numer pojedynczy 5 Marek.



— Czy dobrze idę do Psiej Wólki? Pokaż mi piękna dziewczyno...
— Idźcie z Bogiem! Ja nie mam nic do pokazowania!

Z anegdot o „głowach koronowanych".

Pewnemu monarsze, który był już w podeszłym wieku, zdarzył się raz podczas udzielania posłuchań dość głośny i bardzo niepolityczny, choć zupełnie ludzki wypadek...

Minister, który był właśnie na posłuchaniu, by ratować sytuacyę, rzekł z głębokim ukłonem:

— Przebaczenia, najjaśniejszy panie!... Zdarzyło się to wbrew mej woli...

— Więc to panu? — rzekł cesarz ze zdziwioną miną. — A ja byłem święcie przekonany, że się to mnie wyrwało!... Bo to starość nie radość!...

⊙ ⊙

Na Radzie koronnej pod przewodnictwem młodego cesarza radzono nad wyszukaniem nowych źródeł dochodu, aby zasilić finanse państwowe, cierpiące na galopujące suchoty.

Różni ministrowie podawali różne projekty, minister skarbu wystąpił z propozycyą aby podwyższyć opłaty od piwa, wina i wódki.

Po posiedzeniu zatrzymał cesarz prezydenta gabinetu i odezwał się doń:

— Kochany panie!... wpłyń pan na ministra skarbu, aby zgłosił dymisyę. Ten człowiek działa na niekorzyść dynastyi!...

⊙ ⊙

Arcyksiążę austryacki, Albrecht, był zapalonym myśliwym, choć przeszkadzał mu przy tem bardzo krótki wzrok. Urządzał się w ten sposób, iż na stanowisku towarzyszył mu stale przyboczny strzelec i wskazywał kierunek strzału. Skutek był zawsze, gdyż już przedtem kładziono w tem miejscu zastrzelonego zająca...

Raz zdarzyło się, że krzaki za linią poruszyły, na co zwrócił uwagę arcyksięciu strzelec. Myśliwy wypalił w tym kierunku z obu lufek, po chwili zaś kazał zbadać, jaki był skutek strzału.

Strzelec pobiegł, ale wrócił jeszcze prędzej i do tego z miną jakąś, jakby ucieszoną.

— Co jest?... — zapytał arcyksiążę.

— Radca dworu!... — odpowiedział przybyły.

— Do za radca dworu?... Nie rozumiem!...

— Wasza cesarska mość raczyła zastrzelić radcę dworu, który tam był w krzakach!...

Arcyksiążę machnął ręką na to, poczem się odezwał:

— Jeden mniej, jeden więcej, to nie robi różnicy!... Tej zwierzyny mamy dość w Austryi... To mnie jednak cieszy, że strzał był celny...

W samej rzeczy ofiarą myśliwskiej pasyi arcyksięcia padł stary radca dworu, biorący także udział w polowaniu. Na stanowisku poczuł, że należałoby na chwilę znaleść się gdzieś w ustroniu, a za najodpowiedniejsze miejsce uznał najbliższą kępkę zarośli... Pospieszył tam, lecz już nie wrócił, a lojalna jego dusza, ulatując do nieba, cieszyła się, iż jej to ułatwiła tak dostojna ręka!...

● ●

Wytłómaczył.

— Powiadają, że kobieta nie potrafi się oprzeć pokusie, a tymczasem mamy tyle dowodów, że jest inaczej... Nawet w biblii... Ot. choćby nawet Zuzanna w kąpieli i trzech starców...

— Widzę, żeś to źle zrozumiał, ale ja ci to wytłómaczę... Prawda, że zachowała cnotę, ale to nie jej zasługą, tylko wina tych starych durniów. Zeszli się razem i jeden drugiemu przeszkadzał. Niechaj każdy z nich byłby się zjawił osobno, widziałbyś, że byłoby inaczej i biblia przeszłaby do porządku dziennego nad Zuzanną i jej cnotą...

— Kto wie, może masz i racyę!

●●●

Idylla.

W gaju pośród dnia skwarnego
U stóp cieniodajnych drzew,
Ja, przyjaciel, żona jego —
Słuchaliśmy ptasząt śpiew!

Lecz gorąco zbyt źle wpływa,
Bo przyjaciel zasnął tam,
Więc ja z żonką jego piękną
Zostaliśmy sam na sam!

I szukaliśmy w gęstwinie
Śpiewające ptasze nam,
I niejedna chwila minie,
A my ciągle sam na sam!

A przyjaciel śpi w najlepsze,
A my zasłuchani w śpiew —
Ja i żona przyjaciela
Wciąż gruchamy w cieniu drzew!



ALE ZAKŁAD WYGRAŁ!...

OPOWIADANIE
Z „MAŁEGO GARNIZONU" Z C. K. CZASÓW.

W Pipidówce, małem galicyjskiem miasteczku, oddalonem o trzy mile od stacyi kolei i to do tego lokalnej, gdzie świat deskami zabity, a gazety dostaje się najwyżej raz na miesiąc i to dopiero po dokładnem przestudyowaniu ich przez całą rodzinę pana poczmistrza, stała załogą jedna dywizya, to jest trzy szwadrony pułku ułanów.

Jakie życie pędzili tutaj oficerowie, zrozumie każdy i nikt się nie zadziwi, że przeniesiony do Pipidówki, choćby nawet z awansem, uważał to za karę za winy już popełnione i jeszcze w dalszym ciągu popełnić się mające. Lata spędzone w Pipidówce, uważał każdy z oficerów za wykreślone z jego życia, a ten i ów prosił nawet znajomych posłów, aby przeforsowali w parlamencie ustawę, że pobyt na takiem wygnaniu liczy się podwójnie, tak, jak lata wojny (i małżeństwa!... przyp. zecera).

Ułani natomiast chwalili sobie pobyt w Pipidówce. Oficerowie bardzo ich nie męczyli, chyba przed zapowiedzianą wizytacyą, a okoliczna ludność, zwłaszcza rodzaju żeńskiego, odnosiła się do przedstawicieli c. i k. armii z sympatyą, jaka się należy obrońcom ojczyzny w czasie wojny i mnożycielom ludności podczas pokoju.

Parafia pipidowiecka wykazywała stale największy procent urodzin i to przeważnie osobników płci męskiej. Namiestnictwo wyraziło nawet z tego powodu uznanie proboszczowi za gorliwe zajęcie się parafią, ale on, starowina, twierdził stale, że go te pochwały spotykają zupełnie niezasłużenie.

Komendantem dywizyi był podpułkownik, stary fujara, który prochu nie byłby nawet wtedy wynalazł, gdyby go przedtem Schwarz nie był wymyślił. Na tem pustkowiu czuł się jak u Pana Boga za piecem. Być przełożonym, a nie mieć nikogo nad sobą, to także coś znaczy!

Nie starał się też bynajmniej o przeniesienie, choć stale suszyła mu o to głowę żona, młoda i fertyczna Niemka, nie, mogąca znieść nudów *Bärenlandu*, gdzie nawet nie było porządnego piwa!... Pocieszali ją też młodzi oficerowie, zyskując przez pośrednictwo pani pułkownikowej sympatyę swego bezpośredniego komendanta.

A miała pani pułkownikowa (*pod* opuszcza się u nas z grzeczności!...) bardzo szerokie serce, otwierała je też chętnie każdemu, kto doń zapukał.

Małżonek nie miał czasu na pukanie, gdyż zajęty był swą dywizyą, końmi, polowaniem, kartami i zakładami. W kartach i zakładach miał ogromne szczęście, jak zresztą każdy, który go nie ma w miłości.

Wszelkie zmiany w garnizonie to były wypadki dnia, stanowiące bodaj chwilową rozmaitość w zwykłej monotonności, gdzie, jak rok długi, jeden dzień był podobny do drugiego, jak dwie krople wody. Nawet bajek nie było o kim robić, panie zbyt się bowiem dobrze znały i za często spotykały.

Nic zatem dziwnego, że wiadomość o przeniesieniu do Pipidówki z Budapesztu rotmistrza X... ożywiła cały pipidowiecki garnizon, tak rodzaju męskiego jak i żeńskiego.

Zwłaszcza ten ostatni mówił stale o nim, rotmistrz bowiem znany był z kolosalnego szczęścia, jakie miał u kobiet. Był to poprostu zjadacz serc niewieścich, wszystko jedno, młoda czy stare, cywilne czy wojskowe.

Komendant cieszył się, że dostał doskonałego jeźdźca, ą zarazem i partnera do wista. Trzeba bowiem wiedzieć, że rotmistrz celował w jednem i w drugiem, lubił się też zakładać i zawsze wygrywał. Ogólnie zastanawiano się nad tem, kto też zwycięży, podpułkownik czy rotmistrz, skoro obaj byli takimi zwolennikami zakładów. Płeć piękna życzyła zwycięstwa rotmistrzowi, choć go osobiście nie znała, jedynie tylko z opowieści, płeć brzydka komendantowi. Wogóle panowie nie byli zadowoleni z nowego kolegi, żonaci, czując swędzenie na czole, jak gdyby miały tam rogi urosnąć, a kawalerowie, przeczuwając niebezpieczną konkurencyę.

W każdym razie od rana do wieczora mówiono tylko o nim i zastanawiano się nad tem, kiedy przyjedzie.

I przyjechał i omal nie zapłakał z rozpaczy, gdy poznał miejscowe warunki, w których mu żyć przyjdzie.

— O!... Ja tu długo nie wytrzymam! — rzekł zaraz na wstępie. — Ja powiesiłbym się tutaj z nudów, albo wściekł... Nawet zakładać się niema z kim!

— Owszem!... Podpułkownik to lubi — odpowiedziano.

— I zapewne wygrywa, słyszałem bowiem, że ma młodą i przystojną żonę...

— Właśnie odwrotnie!... Przegrywa stale.

— To ciekawe!... taki stary...

Przedstawienie się pana rotmistrza w komendzie i zapoznanie z kolegami odbyło się zupełnie po formie. Gdy pewnego dnia wieczorem przedstawiono go w kasynie paniom, obejrzawszy je okiem znawcy, doszedł do przekonania, że chyba nudzić się nie będzie. Zwłaszcza pani komendantowa przypadła mu do gustu. Sam Niemiec z rodu, lubił pulchne Niemki, zwłaszcza bloudynki o niebieskich oczach i amatorki piwa. A te właśnie zalety posiadała pani podpułkownikowa w całej pełni.

Ogólne poznanie wypadło na korzyść pana rotmistrza: panie orzekły, że jest na swojem



Sam sobie winien.

— Cóż panu — co, twarz spuchła panie Pomeranz?... Czy pana zawiało?

— Nie! To skutki zapalczywości mojej Sury!... Ale ja sam sobie jestem temu winien!... Dawniej to ona była całkiem inna...

— I cóż pan zrobił takiego, że się tak zmieniła?

— Ja ją proszę pana, posyłam co rok na lato do nasze wodne kąpiele w Swoszowice, a pan wie, że tam jest siarka, a siarka się łatwo zapala!...

⊙ ⊙

Ostrożna.

— I rozwiało się małżeństwo?

— Tak!... I to powodu głupstwa!.. Mojemu narzeczonemu było na imię Tomasz, a wiem z doświadczenia, że każdy Tomasz to niedowiarek!... Dotąd nie wierzy, póki palca nie włoży... A ja tego, przyznam się pani, bardzo nie lubię.

Wróg kobiet.

— Ja ci jednak stale powtarzam, że kobiety nigdy nie grzeszyły konsekwencyą... Czytamy wyraźnie w Piśmie świętem, że „czem kto wojuje, od tego ginie"..., a tu Judyta Holsfernesowi odcina głowę... Ciekawy jestem, co jej jego głowa zawiniła...

Ach te obce wyrazy!

— Co pani powie do tego, moja pani Kohn?... Mówiła mi Feigelstaubowa, że jej mąż jest już od roku *impotent*...

— Nie może być!... Muszę jej pogratulować, gdy jej spotkam!... Czy to więcej, jak „radca cesarski"?...

⊙ ⊙

Z wojennych historyi.

(Rzecz najzupełniej prawdziwa).

Było to w roku 1914, w listopadzie, gdy nawała rosyjska zalała Galicyę i zbliżała się pod Kraków...

W jednem z miasteczek wschodnio-galicyjskich, w którem Moskale gościli już od kilku miesięcy, zauważył miejscowy obywatel, pan Szlojme Pomeranz, że najstarsza jego córka, panna Ryfcia, coś nadzwyczajnie grubieje i to przeważnie w pasie... Wziął ją zatem na spytki i dowiedział się, że się stało nieszczęście, bo tanim kosztem, bez urządzania wesela, które tyle kosztuje, zostanie szczęśliwym dziadkiem...

Wściekły był i byłby ją zabił za tę hańbę, jaką na dom jego ściągnęła, rozmyślił się przecież i dał spokój, ale z prostej ciekawości zapytał, kto też taki pomógł mu do tego rodzinnego szczęścia.

— Kozaki!... — odparła najspokojniej Ryfcia.

— *Wie heisst* Kuzaki? — on na to. — Oni tu są dopiero od dwu miesięcy, a ty ledwo tydzień...

— Tak!... Ale tate musiał czytać w gazetach, że oni się już od marca mobilizowali!...

⊙ ⊙

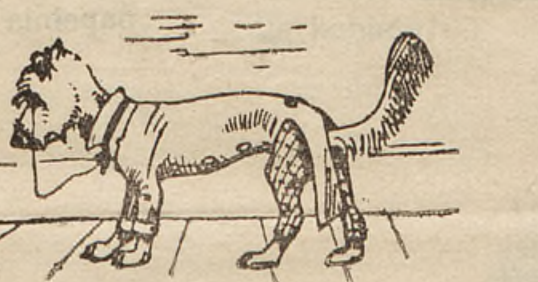
— E... Taka wojna, to nie w moim guście! — mówiła pani Eulalia, osoba w wieku więcej nawet niż „niebezpiecznym"... Zapowiadano, że będą rabować, palić, gwałcić, a tymczasem nic z tego!...

I westchnęła gorąco.

Między pensyonarkami.

— Ciekawa jestem, dlaczego Putyfara urwała Józefowi połę płaszcza?...

— Moja droga!... Któż widział kochać się w płaszczu!... To przecież paskuda w wysokim stopniu!





Lubię, kiedy...

Lubię, kiedy słotna pora,
Czas na dworze brzydki,
Bo podnosząc suknie — panie
Pokazują łydki.

A że panie się podnoszą
Nieraz po kolano,
Więc zobaczyć czasem można
Łydeczkę cacaną:

Pełna, zgrabnie utoczona,
W pończoszki ażurze,
Tak ponętnie się wychyla
Z koroneczek w górze,

Że aż wzrok mój — w wyobraźni,
Która tworzy cuda,
Widzi oprócz zgrabnych łydek
Niemniej zgrabne uda.

Nieporozumienie.

— A cóżeś się tak wystroił?

— Idę do Karolów!... Zabito jednorocznìaka!

— Więc z kondolencyą!... A któregóż?... Bo wiem, że ich syn był na froncie, ale on powinien być już oficerem...

— I jest nim!... Właśnie przyjechał i na jego powitanie dokonano tego morderstwa.

— Niewinny, sympatyczny, jednoroczny prosiaczek, którego pani Tomaszowa sama kupiła... Dziś będą świeże kiszki i gorące podgardle. Jestem właśnie zaproszony na tę familijną uroczystość...

---

miejscu, a panowie, że przecież nie może tak niebezpiecznym konkurentem. Najbardziej zaś zaś zadowolonym był komendant... Zaraz na drugi dzień po obiedzie zaciągnął go do winta i... wygrał! Mimowoli zyskał w nim rotmistrz przyjaciela, gotowego do każdej usługi...

I znów życie w pipidowskim garnizonie szło normalnym torem. Do nowego kolegi już się przyzwyczajono, a i on się jakoś zżył z otoczeniem. Było mu nawet i dobrze, bo nie powtarzał, że się wścieknie lub powiesi...

Pani poszłaby za nim w ogień, koledzy choć nie mieli namacalnych dowodów, ale jakoś mu nie wierzyli i byliby bardzo zadowoleni, gdyby się go udało zdyskredytować tak w oczach komendanta, którym poprostu zawładnął, jak i płci nadobnej. Każda żona stawiała mężowi za wzór rotmistrza i to małżonków doprowadzało do szewskiej pasyi.

Pewnego wieczora zabawiano się w kasynie rozmową, w trakcie której ktoś, chcąc doprowadzić do zakładu między komendantem a rotmistrzem, aby cudzym kosztem i na tem polu wypróbować jego szczęście, zaczął coś mówić o zakładaniu się.

Temat stał się ogólnym, któraś z pań zauważyła, że podobno rotmistrz ma szczęście i w zakładach, czemu ona jednak nie wierzy, bo kto ma szczęście w miłości, ten...

Nie dokończyła, gdyż rotmistrz podchwycił, aby rozmowę skierować na inne toru:

Tak!... Mam szczęście w zakładach i jestem pewny, że mnie ono i tu nie opuści... Gotów jestem...

— W takim razie załóżmy się!... — zawołał rozpromieniony komendant. Ale o co?...

— O cobądź!... Gotów jestem założyć się o pięćset koron, że pan pułkownik nie potrafi wysiedzieć przez pół godziny pod tym zegarem i powtarzać stale *tik, tak*!...

— Zakład stoi!... kiedy go rozegramy?

Jutro o czwartej popołudniu!... — rzucił okiem w stronę pani komendantowej, która właśnie niosła do ust bombkę piwa...

Jaki będzie wynik zakładu?... To pytanie zajmowało wszystkich, tylko nie rotmistrza. Nie było chyba w garnizonie pipidowskim nikogo, kto nie zasypiałby tego dnia ze słowami: *tik, tak*... na ustach.

Nazajutrz o czwartej znaleźli się w kasynie ponownie. Obaj zapaśnicy złożyli po pięćset koron, rotmistrz rzekł, że komendant zostanie w pokoju i nie wolno mu przerywać *tik, tak*, choćby się nawet paliło... Po półgodzinie uwolni go z zamknięcia.

Zgodzono się na to. Rozpoczęło się wygrywanie zakładu, co przez pierwsze dwadzieścia minut odbywało się w spokoju. Pułkownik siedział pod zegarem, powtarzając *tik tak!*... i zadowolony, że mu nikt nie przeszkadza. Oficerowie rozeszli się, każdy w swoją stronę.

Są jednak ciekawi!... Ktoś podpatrzył, że rotmistrz w tym czasie udał się do mieszkania pana komendanta, a przeczuwając, co się święci pobiegł do kasyna i, dobijając się do drzwi, wołał:

— Panie pułkowniku!... Panie pułkowniku!...

Z wnętrza dochodził tylko znany głos komendanta, powtarzającego cierpliwie: *tik tak!*

I nie pomogły dobijania i szturmy, pułkownik nie otwierał, aby zakładu nie przegrać. Przystawiono zatem drabinę do okna i po niej dostał się do pokoju jeden z oficerów, aby komendanta zawiadomić o tem, co się święci.

— Panie pułkowniku!... — wołał, prawie z rozpaczą, widząc starego, siedzącego pod zegarem, dającego takt palcem i powtarzającego monotonnie: *tik, tak!*

— Panie pułkowniku!... Nieszczęście!...

— Tik... tak!...

Niechże pan pułkownik posłucha!... Lada chwila może być zapóźno!...

— Tik... tak!... Niema głupich, zakładu nie przegram!... — Tik, tak!... Jeszcze parę minut!... Tik, tak!... Wyobrażam sobie minę rotmistrza!... Myślał, że trafił na frajera!... Tik, tak!...

— Ależ panie pułkowniku, pan tu siedzi, a rotmistrz tymczasem jest u pańskiej żony!

— Niech sobie będzie!... Tik, tak!...

W tej chwili zaskrzypiał klucz we drzwiach, do pokoju wszedł rotmistrz, z obliczem rozjaśnionem, nieco spocony, aby uwolnić pułkownika!... Spojrzał na zegar i rzekł poważnie:

— Pan pułkownik wygrał!...

— To było do przewidzenia!... — mruknął ten, który chciał ostrzedz pułkownika.

A komendant, chowając do kieszeni wygraną, taki był rozczulony, że nie wahałby się ani chwili, gdyby go rotmistrz poprosił o połowę serca...

Przegrana nie zamsuciła zbyt rotmistrza, gdyby bowiem kto umiał wyczytać w jego myślach, wyczytałby:

— Ja nak wygrałem!... Na odjezdne z Budapesztu założyłem się z jednym z kolegów, że do tygodnia zdobędę serce pani komendantowej!... Jak on to jednak udowodni.





— Myślałem z daleka, że to twoje łokcie.
— Ładny mąż, który nie umie rozróżnić łokcia od kolana swej żony!



— Powiem ci radosną nowinę.
— Radosna nowina, która mnie smutkiem napełnia!



— Dobranoc mój świeży kwiatku..
— Dobranoc, uschnięty badylu!



— Czy będziesz mi wierną?
— Zapytaj się dziesięciu co najmniej, którym wiary dochowuję!



— No i cóż miała twoja pani, syna czy córkę?

— Jak na razie tylko... stołeczek!



— Podziwiam kształty wielmożnej pani.

— O! tak wykształcenie to ważna rzecz dla kobiety!



— Czy była pani kiedy wobec mężczyzny, który powziął silne postanowienie?...

— Pan mnie przerażasz!... Ja jestem uczciwą kobietą!



Straszna groźba.

— Jeżeli mnie pani nie wysłucha, to natychmiast wyłażę z wody!

Ferdek Eleuteryk.



Ale ci mi *Kuryjer* wbił ćwieka w makówę! Ogłosili tam, że możno bardzo łatwo odmłodnieć na starość, a że to każdy miołby do tygo ochotę, nic tyż dziwnygo, że od dwu tygodni ciągiem ino nad tem myślę, czy nie jechać do owygo prefesosa Steinbacha do Widnia i nie prosić, aby i ze mnie zrobił młodygo gawra.

Jigo metoda jest na tem polegającą, że wyrzyno jakiś gruczoł, który człekowi jest już niepotrzebny i ino mu przy chodzyniu zawadzo, a skróś tygo inkrzyjsze gruczoły zaczynają rosnąć, siła wstępuje w kopyta i inaksze czynści ciała, porastają łysiny nowymi wiórami, nawet zachciwo się takiemu figlów o których już dawno był zapominający.

Prefesór zaczon od zwierząt i przekonoł się, że po takiej reperacyji, nabirały nowych sił, bawiły się z młodszemi, pozbywały się chroboków, które je dotąd trapiły, zaczeny nawet zabirać się do zakładania se gniazda co jest dowodem, że wraca im życie i młodość.

Potym wzion sie do ludzi. Mioł starygo pacyenta, takigo, co to już ino na śmelc z nim, a pon radca Wolny mo go już zanotowanygo dla pamińci. I z nim tyż poszło klawo, całkiem tak samo, jak ze świnkami morskiemi. Ze starygo grata, który ledwie suwoł cybuchami, łysina świciła mu się z przeproszyniem jak księżyc, trapił go tasiemiec i hemoroidy, a na żadną brzanę ani spojźroł, zrobił sie kawalir pirszyj wody. Bez tygo gruczoła, który mu wyrznięto, jest się całkiem klawo obchodzący, na makówie mo nowy porost włosów (bo nosi perukę...), tasimca sie pozbył, za brzanami łupie okiem, a nawet chciałby se założyć gniazdo i w tym celu kupił se materace, wyrudziałą otomanę i klozet pokojowy (choć już wojennygo wyrobu). A tak odmłodniał, że mu sie niedawno przydarzył taki wypadek, jak ostatni roz, gdy mioł siedm lat życia i obuchoł sie śliwek.

Jednym słowem, prefesór Śteinbach robi cudy i bez młyna, o któćym dawniej grypsoł, że przerobio stare brzany na młode, tak cie przenicuje, że sie sam potym nie bedziesz po znający!

Jako iż jestem posłuszny władzy domowy, choć nie jo Mańce, ino ona mnie posłuszyństwo była ślubująca, zawdy radze sie jij w każdyj najważnijszyj sprawie i potym tak robie, jak mi koże. A że tako sprawa jest pirszorzędnygo tak dla mnie jak i dla niej znaczynio, zrobiliśmy narade familijną, na której stanęło, że mom jechać do Widnia i nie wracać stamtąd, chyba całkiem młody. Żal mi ino tygo gruczołu, którygo sie trza pozbyć, bo nie wiem, czy sie późnij możno być bez nigo obchodzącym.

Takie odmładzające kuracyje są sie czynsto udające. Niedawno grypsali, że, jeżeli kto frygo dużo mózgu cielęcygo, może zostać prefesorem uniwersytetu i lotygo to pewnie przed wojną nasze wielgie uczone tak chętnie wsuwały u Maurycjego paszteciki z mózgiem. To sie nazywo organoterapija, pono dlatego, że ją wymyślił jakiś organista, który w wolnych chwilach od granio i śpiwanio kurowoł ludzi i zwirzęta. Kogo stać na to, aby se mógł pozwolić na zjedzynie koguta, staje sie zadzierzysty i ma szczyńście w miłości, a baranina wpływa zato na wyrobienie w człowieku uległości i potulności i skróś tygo żony tak nią chętnie karmią swych mężów.

Mnij przyjemne jest tak zwane leczynie sympatyczne, poligające na całowaniu w to mijsce, gdzie boli. Młodą brzanę, chorującą na ból zębów podjonbym sie wyliczyć, nawet zadarmo, ale do teściowyj, chorującyj na hemorojdy, choćby nawet złotem płaciła, pewnikiem bym sie nie zabroł.

To jednak fraszka!... Grunt, czy mi prefesór Śternbach pomoże!

Gadająca papuga.

(Zdarzenie prawdziwe).

Do Krakowa przyjechał z prowincyi jakiś obywatel i z podziwem ujrzał przed jednym ze sklepów papugę, która ciągle krzyczała:

— Jestem porządna!... Jestem porządna!...

Coś podobnego, aby, jak sam mówił, taki gad mógł być mądry, nie widział i nie słyszał dotąd, wszedł więc do sklepu i oświadczył, że za nią zapłaci, ile kupiec zażąda.

Ale kupiec nie chciał się zgodzić na to, twierdząc, że to dla jego interesu reklama. Gdy gość nalegał coraz natarczywiej, a on nie mógł się go pozbyć, wpadł na dobry pomysł.

— Papugi nie sprzedam — rzekł — ale mogę dobrodziejowi odstąpić kilka jaj od niej.

— A będą gadać? — pytał przybysz.

— Jaja nie, ale młode papugi, które się z nich wylęgną z pewnością!...

Doszło do zgody, obywatel kupił cztery jaja po pięćdziesiąt marek i już z góry się cieszył, co to będzie za frajda, gdy cztery papugi zaczną gadać w domu. Gotowe przegadać nawet jego połowicę!

Kupiec, rzecz prosta, jaj papugi nie miał, zebrał zatem jaja, jakie miał w sklepie pod ręką, aby się tylko uwolnić od natrętnego gościa...

Pojechawszy na wieś, podłożył je pod kurę, która w samej rzeczy wysiedziała, ale nie papugi, lecz... młodą gąskę, kaczkę, pantarkę i kurczę...

Szlachcic był wściekły. Całą winę przypisywał naturalnie papudze, nie kupcowi, który przecież nie mógł widzieć, co jest w jaju...

I gdy w kilka miesięcy był znowu w Krakowie i przechodząc koło sklepu, usłyszał głos papugi: „Jestem porządna!“, stanął, pogroził jej laską i rzekł z oburzeniem...

— Niech cię dyabli wezmą z twoją porządnością!... Idź do mnie na wieś i przypatrz się, jak wyglądają twoje dzieci!... Już ja się drugi raz nie dam wziąć na kawał!...

I splunął z wściekłością.

Z historyi.

Profesor: Proszę mi opowiedzieć o ostatnich chwilach Maryi Stuart.

Uczeń: Na pięć minut przed śmiercią była jeszcze całkiem żywa...

* * *

Profesor: A jaki fakt historyczny wiąże się z przeszłością miasta Orleanu?

Uczeń: Że się tam raz znalazła jedna dziewica...

Słuszny powód urazy.

— Nie!... Temu Noemu to nigdy nie daruję!... Po kiego licha brał ze sobą do arki pchły, wszy, pluskwy, karakony... Nie mogło się to paskudztwo wytopić?... Mielibyśmy dziś spokój!

— Masz racyę!... Ja jednak nie biorę mu tego za złe z mojego punktu widzenia... Jestem, jak wiesz, aptekarzem i mam spory zapas Zacherlinu. Ciekawy jestem co zrobiłbym z nim, gdyby nie było tych owadów...





U wróżki.

Do starej wróżki po wyrocznie
Przyszła dziewczyna z wsi dalekiej,
Aby przekonać się naocznie,
Czy są dla serca jakie leki?

Staruszka siedzi na przypiecku,
Czarnego jak noc kota klepie,
Kot mruczy pacierz po niemiecku,
A iskry sypią jego ślepie.

— Mów śmiało, czego chcesz odemnie? —
Zawoła stara worożycha.
— Kocham! — lecz nie wiem czy wzajemnie?
Dziewczyna jej odparła z cicha.

Stara się radzi kart kabały,
Zgarbione plecy wsparła o piec,
— Wybierz chłopaka z talii całej,
To będzie właśnie ten — twój chłopiec!

Ach! matko! trudność w tem niemała,
Odrzeknie dziewcze w myśli szczerej —
Chcąc by kabała nie skłamała,
Więc niechże będą — wszyscy czterej!

Minister w kłopocie.

(Podsłuchane w kawiarni).

— Nie zna pan jakiego skutecznego środka przeciw obstrukcyi?

— Jest ich dość!... Olej rycynowy, pigułki, gorzka woda, ostatecznie hegar...

— Pan mnie nie rozumie!... Mnie chodzi o tę obstrukcyę, jaką mi zgotowała lewica...

— Znajdzie się i na to środek w polityeznej aptece!... Jeśli pan prezydent chce, by ich „ruszyło“, niech się sam pan ruszy, zrób im miejsce, bo w grę wchodzą tu ambicyjki osobiste! Tylu spodziewało się tek, nawet uczyli się na gwałt po francusku i nici z tego!...

— Ba, kiedy mi tu wygodnie i bynajmniej i ja nie mam ochoty się ruszać!...

Wesoły dentysta.

Dentysta (rwiąc trzeciego z rzędu zęba pacyentowi): Co?... Więc to jeszcze nie ten bolący?... Trafimy przecież na niego!... Nic pan sobie z tego nie rób, bo to godzina ordynacyjna dla ubogich chorych, więc nic sobie nie policzę!...

Aprowizacya się poprawia.

(Podsłuchane).

— Tak, panie łaskawy!... Aprowizacya w Krakowie poprawiła się wybitnie!... Wiem to z raportu zarządu Sukiennic. W tamtym miesiącu mieliśmy zamknąć podziemia z powodu braku zapotrzebowania, tymczasem w ostatnich czasach frekwencya się zwiększyła, co jest dowodem, że i aprowizacya jest daleko lepsza!

Jak to rozumieć?

W komunikacie wojennym z czasów jeszcze austryackich czytamy:

„W pewnej ukraińskiej miejscowości *wyrżnęła* ludność oddział naszego wojska, wysłany tamże na rekwizycyę. Rannych przewieziono do szpitala polowego za frontem. Stan ich nie budzi poważniejszych obaw“...



Z listów Hermogenesa Klapy.

Szanowna Redakcyo!

No, jakoś, Bogu dziękować, udało się nam skończyć konferencyę w Spaa, wobec czego możemy rozpocząć wakacye, ale nie wszyscy, gdyż Lloyd George prosił mnie, abym się koniecznie udał do Moskwy i tam wytłumaczył na rozum memu przyjacielowi, Cziczerinowi, aby się nie upierał przy Brześciu Litewskim, ale zgodził się na Londyn. Każdy z delegatów rosyjskich lepiej nawet na tem wyjdzie, gdyż będzie sobie mógł policzyć większe koszta podróży.

Obiecałem Lloydowi, że uczynię czego żąda, i wyraziłem przekonanie, że Cziczerin nie będzie się chyba upierał przy Brześciu, zwłaszcza, jeśli mu zacytuję znane polskie przysłowie.

— Jakie? — zapytał Lloyd George, człowiek ogromnie ciekawy.

— *Mądry głupiemu ustępuje!*... — odpowiedziałem poważnie.

— Tym mądrym to ma być on? — zauważył.

— Tak!...

— To mu pochlebi i upierać się może nie będzie!... Ale ja też występuję w nie bardzo korzystnem świetle!

I to prawda!...

Jadę zatem do Moskwy, ale jeszcze nie wiem, kiedy, gdyż sowiety dotąd nam właściwie oficyalnie nie odpowiedziały, przyjmują warunki czy nie, bo oni mają zupełnie taką naturę jak Niemcy. Każdy warunek przyjmują, ale żadnego nie wykonają.

Gdym na to zwracał uwagę Lloyda Georga, machnął ręką i rzekł:

— A my i tak zrobimy, co nam się podoba! W Spaa spędzałem czas bardzo przyjemnie i pożytecznie, stwierdziłem bowiem urzędowo, że przybyło mi przeszło kilo żywej wagi, czyli, wyrażając się językiem pp. Bialika, Kurkiewicza lub Sataleckiego, powiększyłem swą wartość osobistą przeszło o sto marek.

Co to znaczy świeże powietrze, dobra kuchnia i wypoczynek!

W posiedzeniach brałem naturalnie udział, choć niezbyt żywy. Bywałem stałym gościem, zwłaszcza na popołudniowych. W chłodnej sali, gdzie much brak (zjedli je podobno Niemcy w czasie swego tu pobytu, gdy się im już zaczynało wieść coraz lepiej...), podczas monotonnego wygłaszania referatów śniło się złote sny.

Raz referowałem nawet na żądanie Lloyda George'a sprawę zeszłorocznego nieurodzaju ryżu w Chinach. Wypowiadam się, że się na tem nie znam, ale nie pomogło.

— Mój kochany Clapsonie!... Mów sobie, co ci się podoba, byleś gadał bodaj z kwandrans. O ryżu możesz chyba coś powiedzieć!

— Zwłaszcza naprzykład z jabłkami i cynamonem, lub bitą śmietaną!

— Widzisz!... Gdy skończysz, już my poweźmiemy uchwały, jakie uznamy za stosowne! Gadaj, co ci ślina na język przyniesie, bodajby o zeszłorocznym śniegu!... Choć o śniegu nie mów lepiej, bo Niemcy gotowi sądzić, że to aluzya do węgli na Górnym Śląsku i obrazić się, a ja chcę żyć ze wszystkimi w zgodzie!

Referowałem zatem, co mi kazano, a gdy wydusiłem ze siebie ostatnie słowo, zabrał głos Lloyd George, który z zasady przemawia w imieniu całej Koalicyi.

— Rada Najwyższa, znając krytyczne położenie Chin, przyjdzie im z pomocą, udzielając odpowiedniej pożyczki w gotówce na zakupno ryżu w Anglii i dostarczając rąk do pracy. W tym celu ma być z Polski wysłanych do Chin dziesięć tysięcy robotników...

Powiódł okiem po sali, potem dodał!

— Nikt nie się sprzeciwia, zatem wniosek przyjęty. Proszę to zanotować!

— Ale nie było przytem polskiej delegacyi! — ktoś zauważył.

— Nic nie szkodzi i tak zostaliby w mniejszości!... Zresztą był pan Clapson i on wniosek postawił!

— Ja?... — zawołałem. — To nieprawda! Ja nic nie stawiałem!

— Tylko spokoju, mój drogi!... Tyś referował, ja stawiałem! — rozstrzygnął Lloyd.

— A gdyby Polacy chcieli założyć *votum separatum*?

— Także się im na nic nie zda! Mogłaby wtedy rozstrzygnąć Liga Narodów, a Liga ta to przecież my.

Podczas tego posiedzenia nie spałem wyjątkowo, wiem więc, że postanowiono wyewakuować sułtana tureckiego do Azyi, harem zaś jego zostawić w Europie i oddać do użytku członkom Koalicyi.

— Clapson!... — zapytał Lloyd George. — Czy chciałbyś może należeć do komisyi odbiorczej.

— Dziękuję!... — odpowiedziałem. — Do tego potrzebny Młodoturek, a ja już przeszedłem do obozu staroturecklego.

I westchnąłem. Lloyd George także i rzekł:

— Tak!... To prawda!... Tyle prawdy, co ty, nie wypuszcza ze siebie nawet sam ksiądz Kądzioła, wydawca „Prawdy"...

— Ale ma on i „Figlarza"... — dorzuciłem a ja się tem poszczycić nie mogę!

Co się natomiast tyczy obiadów i kolacyi konferencyjnych, w tych brałem udział bardzo pilny i nie próżnowałem, aby dać dowód, że chcę pracować, do tego bowiem trzeba sił, a kto je chce mieć, musi jeść. Kuchnia pierwszej klasy, prawdziwie międzynarodowa, potrawy pierwszej klasy!... Na lepsze nie zdobyłby się nawet pan Piotr „z pod Obrazu".

Przyszedłem wogóle do przekonania, że główną zasadą racyonalnego odżywiania się jest *i dużo i dobrego, o ile możności darmo!*

Z naszymi delegatami spotykałem się podczas obiadów i kolacyi „na świeżem maśle" i na spacerach, na świeżem powietrzu. Z panem Grabskim się widziałem. Zapytał mnie zaraz, czy już wymieniłem korony na marki.

— Nie!... — odpowiedziałem.

— To źle!... A dlaczego?

— Bo koron akurat nie miałem!...

Onegdaj odwiedziłem Lloyda George w jego mieszkaniu. Zastałem go zajętego wystrzyganiem czegoś.

— Co waćpan robisz?... — pytam.

— Wystrzygam dla was Polskę!... Powiadam ci, będzie czerwona, czysto narodowa, abyście nie mieli kłopotu z innemi narodowościami... Widzicie, jak ja o was pamiętam!

Rzuciłem okiem na nią i robię uwagę:

— A gdzież Śląsk Górny?

— Śląsk Górny?... Ano, zostawię go Niemcom!... Niech te łotry mają kłopot z węglami!.!. Bo, przyznaj sam, co wam ze Śląska, gdy my węgle zabierzemy!

— I to racya!...

— A widzisz!... Ja zawsze mówiłem, że ty Clapson, jesteś trzeźwym politykiem!

— O tak!... Pijam tylko wodę i do tego denaturowaną!... — A gdzie Cieszyn?

— Przy strzyżeniu zagapiłem się i został po czeskiej stronie... Ale to głupstwo!... Polska będzie i bez Cieszyna wielką!... Wprawdzie nie będzie sięgać od morza do morza, ale w każdym razie bodaj od morza do... Morskiego Oka!... Bez Galicyi wschodniej też się obejdziecie. Oszczędzi wam to kłopotów, jakie mielibyście z Ukraińcami... Albo Litwini lub Białorusini?... Czyż wam to potrzebne, uganiać się z nimi i psuć sobie niepotrzebnie krew?... Dość kłopotu macie już z syonistami!... ...Ja tylko o was dobrze myślę, a wy jakoś tego nie uznajecie!...

Członkowie konferencyi już się rozjechali, jednego omal nie rozjechał samochód — ja chwilowo zostaję jeszcze w Belgii, gdyż chciałbym się widzieć królem Albertem, do którego mam kilka interesów. Zaprosiła mnie także królowa Wilhelmina do Holandyi, ale nie wiem, czy mi na to starczy czasu! Obowiązek przedewszystkiem, potem dopiero przyjemności!...

Na razie ściskam Was, wszystkich razem i każdego z osobna, płci nadobnej nie wyjmując. Skąd napiszę list następny, dowiecie się ze stampili pocztowej.

Do rychłego zobaczyska!

Klapa.

Kto i jakie wymyślił przysłowia.

Nic w naturze nie ginie... kucharz, robiąc klops z resztek wczorajszej pieczeni!

Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada... jęczał dyrektor wodociągu, znalazłszy się na dnie dziury, wykopanej na ulicy przez swych pracowników.

Wielkie rzeczy tworzą się pomału... bronił się poseł, gdy go pytano, co słychać z konstytucyą.

Niech nie wie lewica, co bierze prawica... wypisano wielkiemi literami w lokalu, urzędowym pewnej instytucyi autonomicznej.

Czem chata bogata, tem rada... mówił Witos, robiąc Gagatka szefem sekcyi.

Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje... powtarzał pan radca, wracając raniutko z Resursy z portfelem wyładowanym banknotami.

Komu w drogę, temu czas... powiedział do siebie pan minister Grabski, czytając *Kuryerka*.

Nie samym chlebem żyje człowiek... doszedł do przekonania milioner wojenny i kazał sobie podać befsztyk z jajem.

Właściciel i wydawcy: Spółdzielcy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Stefana Kraczmarskiego.



Nad morzem:

Czy popłyną w dal te cienie — czy wnet do portu zawiną...
Pod rozpiętym płynąc żaglem,. majtek z swą dziewczyną?